

Na lewym brzegu Dniestru – 2 – Istniejemy

10 stycznia 2017

Obroniliśmy się. Istniejemy. Może nie żyjemy w szczególnie bogactwie, ale z drugiej strony wiemy, że mogłoby być o wiele gorzej. Nie chcemy powrotu pod władzę Kiszyniowa. Co nam może zaoferować Mołdawia? Znowu szykany za mówienie po rosyjsku? Przecież nie wyższy standard życia i większą pewność jutra. Taki przekaz kierują mieszkańcy lewego brzegu Dniestru do społeczności międzynarodowej, do demokratycznej Europy, już ćwierć wieku, praktycznie jednogłośnie, w referendum. Pierwszy raz 1 grudnia 1991 r. 80 proc. ludności Naddniestrza zagłosowało za niepodległością.

W 2006 r., przy bardzo wysokiej, 78-procentowej frekwencji, 97 proc. głosujących opowiedziało się za kontynuacją starań w sprawie uznania niezawisłości republiki z możliwością dalszego przyłączenia jej do Rosji (97 proc. głosów). 94,6 proc. stwierdziło jeszcze, że nie wyobraża sobie powrotu pod jurysdykcję Kiszyniowa. OBWE, zaproszona do obserwowania tego drugiego głosowania, jeszcze przed otwarciem lokali oznajmiła, że nie uzna wyników. Unia Europejska stwierdziła natomiast, że po raz kolejny pogwałcono integralność terytorialną Mołdawii, a poza tym nie można ufać wynikom głosowania prowadzonego na ziemi, gdzie stoją wojska rosyjskie.



Giennadij Kuźmiczow.

– Gdybyśmy tylko mieli prawidłową orientację geopolityczną! – wzdycha Giennadij Kuźmiczow, w latach 2013-2015 minister spraw wewnętrznych ciągle nieuznawanego Naddniestrza. – Gdybyśmy tylko nie orientowali się na Rosję, dostalibyśmy już dawno wszystko, czego chcemy. Chcielibyśmy autonomię w ramach Mołdawii, proszę bardzo. Wolelibyśmy pełną niepodległość, też by nie było problemu. Tylko że na lewym brzegu ludzie albo wprost czują się Rosjanami, albo w każdym razie uważają się za związanych z rosyjską kulturą. No to mnożą się zarzuty pod naszym adresem: że nie ma demokracji, że wynikiem naszych referendum nie można ufać. Mamy się poprawić, wrócić do Mołdawii, to ewentualnie potem się pomyśli.

Kiedy prezydent Jewgienij Szewczuk, ciągnie Kuźmiczow, podpisał w tym roku dekret o harmonizacji prawa naddniestrzańskiego z rosyjskim, momentalnie z Kiszyniowa podniósł się krzyk – zagrożenie dla bezpieczeństwa! A chodziło tylko o dokument, który, moim zdaniem, i tak jest źle skonstruowany, nawet jeśli uznać go za krok w dobrym kierunku. Za to agresji przeciwko rosyjskojęzycznym, od której zaczął się cały konflikt Kiszyniowa z Tyraspołem, nikt „zagrożeniem dla bezpieczeństwa nie nazywał”. Czy ktoś w Kiszyniowie przeprosił za tragedię Bender? Za akty przemocy ze strony specjalnych oddziałów policji, OPON, fanatycznie walczących o

rumuńską Mołdawię, zabójstwo rosyjskojęzycznych milicjantów w Dubosarach? A może za zabójstwa naddniestrzańskich działaczy?



„Prawdziwy rumuński patriota” Ilie Ilașcu.

Jednego z nich, Nikołaja Ostapienkę, zamordowała 30 kwietnia 1992 r. nacjonalistyczna rumuńska bojówka Bujor dowodzona przez Ilie Ilașcu. Jej działacze stawiali sobie za cel restaurację Wielkiej Rumunii wszelkimi środkami. Ilașcu nie zdołał uciec z Naddniestrza, został ujęty i skazany na śmierć, potem na dożywocie. Wstawiła się za nim mołdawska Chrześcijańsko-Demokratyczna Partia Ludowa, zaocześnie wpisując go na listę kandydatów w wyborach parlamentarnych. Przebywając w tyraspolskim więzieniu, dwa razy zdobył mandat głosami zwolenników zjednoczenia Mołdawii i Rumunii. W 2000 r. zgodził się przyjąć obywatelstwo rumuńskie i został, znowu zaocześnie, senatorem z ramienia Partii Wielkiej Rumunii. Rok później władze w Naddniestrzu wypuściły go z więzienia. „Prawdziwy rumuński patriota”, gdy tylko znalazł się w bezpiecznych granicach nowej/starej ojczyzny, niedwuznacznie przyznał, że faktycznie kierował w Naddniestrzu grupą terrorystyczno-sabotażową. Co nie przeszkodziło mu bynajmniej zasiadać w Senacie Rumunii do 2008 r., a i dziś nie przeszkadza zabierać głosu w charakterze komentatora bieżących wydarzeń.

O Ilașcu słyszało nie tylko pokolenie wojny 1992 r., ale i młodsze, to, które urodziło się i dorosło już w „czarnej

dziurze". Dla nich słowa „Ja – pridniestrowiec” to poważna deklaracja, nie propagandowe hasło z jednego z billboardów rozstawionych przy głównej ulicy Tyraspola. Eksperci mogą sobie tłumaczyć, że nie ma żadnego „narodu naddniestrzańskiego”, bo do narodu trzeba wspólnej krwi i historii, a nie mieszania się na jednym pasie ziemi wzdłuż Dniestru etnicznych Mołdawian, Ukraińców i Rosjan. Teorie nijak mają się do tutejszej wspólnoty, mówiącej po rosyjsku, nie dorabiającej ideologii do szczegółów pochodzenia etnicznego. Wspólnoty, która pamięta o poległych za Naddniestrze, płynnie łącząc tę pamięć z wspomnieniem lokalnych bohaterów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i poległych w Afganistanie; wszystkich upamiętnia zresztą w jednym wielkim



W „skansenie komunizmu” muzeum Grigorija Kotowskiego (dom za drzewami) było o krok od przegranej z wolnym rynkiem. Memoriale Chwały w centrum Tyraspola. Komunizmu jako takiego w tym wszystkim jest najmniej. Pomniki Lenina, które tak śmieszają i straszą obcych przybyszów, stoją na dawnych miejscach, bo to nasza historia, dlaczego mielibyśmy o niej zapominać albo udawać, że nigdy jej nie było? Ale już muzeum Grigorija Kotowskiego, czerwonego dowódcy z lat wojny domowej, który pokonywał Białych pod Odessą i za sprawą którego Tyraspół znalazł się po radzieckiej, a nie rumuńskiej stronie granicy, było w poważnych opałach. Lokalne władze Tyraspola na

przełomie lat 2010 i 2011 argumentowały: po co nam w centrum miasta zamieniony na muzeum stary hotel, w którym Kotowski przez jakiś czas miał swój sztab, zbudujmy w tym miejscu coś nowocześniejszego, lepszą wizytówkę Naddniestrza patrzącego w przyszłość. W obronie muzeum stanęli działacze społeczni, słysząc ich głos wypowiedział się prezydent Szewczuk. Na razie dom Kotowskiego stoi, tyle, że eksponaty pojechały jakiś kilometr dalej, do muzeum miejskiego, gdzie zrzucone do bocznej sali bynajmniej nie są główną atrakcją.

I nie chodzi w tej naddniestrzańskiej tożsamości o kultywowanie starych uraz, podsycanie nienawiści do zwykłych Mołdawian, którzy też przez minione 25 lat przeżyli rozczarowanie, pojęli, przynajmniej w części, że połączenie się z Rumunią to mrzonka, integracja europejska okazała się pustym hasłem; którzy w ostatnich latach coraz przychylniej patrzą na prorosyjskie partie. Mołdawia, nie zdoławszy zająć lewego brzegu zbrojnie, przez lata stosowała wobec niego ekonomiczną blokadę. Chętnie tłumaczy istnieniem Naddniestrza swoje własne gospodarcze niepowodzenia. A są i sprawy zupełnie już praktyczne. Na lewym brzegu przetrwało, przynajmniej częściowo, poczucie, że państwo nie powinno zostawiać obywateli całkiem na lodzie. Proszę spojrzeć, podkreśla Kuźmiczow, jak podrożały usługi komunalne w Mołdawii. U nas są tańsze, zdarza się nawet, że mieszkańcy mołdawskich wiosek przy granicy przenoszą się na zimę na drugą stronę, bo wiedzą, ile na tym zaoszczędzą. I dalej przekonuje, żebym nie wierzyła w stereotyp o Naddniestrzu, które już prawie umiera z głodu. To na lewym brzegu Dniestru są niższe czynsze i wyższe emerytury, nie tylko w porównaniu z Mołdawią, ale i z drugim sąsiadem – Ukrainą. Jest kilka niezłych szkół wyższych na czele z Naddniestrzańskim Uniwersytetem Państwowym, są filie niektórych rosyjskich albo ukraińskich uniwersytetów. Fakt, uzyskany dyplom trzeba „uwierzytelić” w Mołdawii (trudno) albo w Rosji (o wiele prościej). Z dyplomem nadal stosunkowo nie najgorzej o pracę, chociaż, niestety, często poniżej kwalifikacji.



Rybnica.

Jest wreszcie naddniestrzański przemysł, którego strata w 1992 r. tak ugodziła Mołdawię. Giennadij Kuźmiczow wierzy, że dzięki współpracy z Rosją uda się go zmodernizować i sprawić, by działał jeszcze lepiej. Na razie i tak na czterech zakładach, w 95 proc. produkujących na eksport, opiera się połowa PKB republiki. Elektrownia GRES, sprywatyzowana i sprzedana rosyjskiej grupie Inter RAO JES, mimo wszystkich politycznych zawirowań sprzedaje 4/5 produkcji do... Mołdawii, pokrywając połowę tamtejszego zapotrzebowania energetycznego. Rybnicki kombinat cementowy eksportuje głównie do Rosji. Ale już produkcja hutnicza z zakładu w Rybnicy trafia głównie na rynek włoski, niemiecki i amerykański, a wyroby tekstylne Tiroteksu jadą do Włoch, Niemiec, Grecji i Austrii. Kiedy w grę wchodzi zysk i interes, nagle przestaje się liczyć święte oburzenie na naddniestrzańską secesję, przestają padać żelazne, zdawałoby się argumenty o „wątpliwościach w kwestii poziomu demokracji”. Ta zasada na obydwu brzegach Dniestru sprawdza się równie dobrze.

„Prawowita” i „demokratyczna” Mołdawia w liberalnych rankingach wolności i swobód ląduje nieodmiennie na dalekich pozycjach. Tajemnicą poliszynela są ogromne wpływy, jakie ma w niej Wład Plahotniuc. Nie da się już ukryć, jak tamtejsza „proeuropejska elita” wikłała się w kolejne skandale

korupcyjne i rozdrapywała pomoc rozwojową z Brukseli. Jako że jednak integracja europejska była stale na ustach czołowych polityków, ta sama Bruksela przekonywała, że oligarchizacja to w Kiszyniowie tylko choroba wieku dziecięcego. Można za nią czasem pogrozić, w żadnym jednak wypadku nie skazywać na banicję. W przypadku Naddniestrza prorosyjska orientacja przekreśla szanse na taką wyrozumiałość. Biznes musi kręcić się nieco bardziej dyskretnie, o pomocy rozwojowej można zapomnieć.

A zwyczajne życie? Mieszkańcy Naddniestrza zwykle nie mają wielkich oczekiwań, zdaje się, że wiedzą, że po 1991 r. w tej części Europy i tak by się nie ziściły. Spotykam kilkoro takich, którzy świadomie zamienili Kiszyniów albo któreś z miast ukraińskiego obwodu odeskiego na Tyraspol i są pewni, że podjęli dobrą decyzję. Cieszą się z zabezpieczeń społecznych, niewysokich, ale pewniejszych, niż mołdawskie czy tym bardziej ukraińskie. Przyzwyczaili się do problemów, jakich nie znają mieszkańcy państw powszechnie uznawanych, tak jak te z telefonem: korzystanie z naddniestrzańskiej sieci, niedziałającej w systemie GSM, jest mało opłacalne, na co dzień, zależnie od tego, gdzie się mieszka, lepiej kupić kartę sieci mołdawskiej lub ukraińskiej. Licząc się jednak z tym, że można nieoczekiwanie stracić zasięg albo wykonać rozmowę „międzynarodową”, gdy przebywający na tym samym lewym brzegu rozmówca akurat połączył się z siecią tego drugiego sąsiada.

Albo paszport: naddniestrzański do swobodnego przemieszczania się nie wystarczy, potrzeba rosyjskiego albo mołdawskiego. Bywa tak, że aby dostać rosyjski, trzeba najpierw uzyskać, a potem rzucić mołdawski, godząc się na to, że przez jakiś czas w oczach cywilizowanego świata jesteś znikąd. Można też, ciągle rozmawiając po rosyjsku, radzić sobie inaczej: nie zrywać demonstracyjnie z Mołdawią, tylko udać porządnego „Rumuna z Besarabii”, wykazać przedwojenne związki rodziny z Rumunią i zdobyć tym samym paszport tego kraju, razem z przepustką do strefy Schengen. Do ambasady rumuńskiej droga

prosta. Marszrutki z tyraspolskiej „czarnej dziury” do „europejskiego” Kiszyniowa, przez odbudowany słynny most na Dniestrze, kursują na okrągło. Codzienne potrzeby potrafią doraźnie wygrać z wielką polityką.

Tyle, że przez błędną orientację geopolityczną lewego brzegu nawet to jest interpretowane na jego niekorzyść. – Wojna w Mołdawii zakończyła się bardzo szybko, w przeciwieństwie do wojny na Bałkanach, zaś zwykli ludzie na obu brzegach Dniestru z łatwością znajdują wspólny język – mówił przedstawiciel UE w Mołdawii Adriaan Jacobovits de Szeged. Miał być to argument za tym, dlaczego w żadnym wypadku nie można pozwolić na podział Mołdawii, dlaczego należy uznać „aspiracje” Kosowa i bezkrytycznie popierać niezawisłość Czarnogóry, a równocześnie potępiać Naddniestrze.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Zdjęcia: Ro.wikipedia.org, Agatha Rosenberg, Wikimedia Commons

Źródło: Strajk.eu